Nr. 6./7 We Lwowie dnia 18. Października 1872. **Rocz. IX**



Wychodzi dwa razy na miesiąc.
Kosztuje:
rocznie . . 4 złr. 40 ct.
dla szkółek 3 „ 30 „
(Wrazie zwiększenia liczby prenum. 3 razy na miesiąc.)
Adres Lwów Nr. 35¼.

OPIEKUN DZIECI NASZYCH.

Nauka moralna.

Nieraz może słyszycie mówiących, że się coś nie powiodło na świecie dla tego, że pomiędzy tymi, co rzecz tę prowadzili, nie było zgody i jedności. Bywa tak moi drodzy, a przyczyną tego najczęściej upór, czyli zarozumiałe przekonanie, że to co się radzi jest lepszem od rady drugiego, że twierdzenie moje jest rozumniejszem od zdania cudzego. Być może, że czasem tak jest, ale czy samemu za swoje zdanie można ręczyć? Najlepiej w podobnych wypadkach grzecznie, spokojnie wypowiedzieć własne przekonanie, a zresztą zamilknąć. Czas później najlepiej pokaże kto ma słuszność, a wówczas ten co utrzymał się przy swem zdaniu, zyskuje pomału ogólne uznanie i przychodzi wreszcie do tego, że co on powie, na to wszyscy przystają. Na uzyskanie jednak takiego poszanowania potrzeba wiele czasu i najczęściej też ludzie dopiero w późniejszym wieku przychodzą do tego. Starać się jednak o takie miarkowanie samego siebie trzeba od najmłodszego wieku; kto tego zaniedba, nigdy do niego nie dojdzie.

Wprawdzie takie baczenie na siebie ciągłe nie jest łatwem; trud także nie łatwy powstrzymać siebie, gdy człowieka trapi wewnątrz chętka mówienia i dowodzenia, gdy go niemal coś ciągnie za język. Ale bez trudu nic na świecie nie przychodzi, chcąc nawet schrupać jaki smaczny kąsek to go trzeba ponieść ręką do ust a potem zebami dobrze pogryźć. Robimy to jednak chętnie, bo dogadzamy smakowi, ale dusza godniejsza od ciała a więc jej się więcej należy jak ciału.

Dwa kłosy.

Raz rolnik pewien z synem Antosiem
Poszedł obejrzeć, czy niwa
Dojrzałym się już pokryła kłosiem,
Czy czas przystąpić do żniwa.

„Czemu tato“, spyta Antoś ciekawie,
„Różne kłosy ma to zboże?
„Te stoją prosto, jak świeca prawie,
„Inne się chylą w pokorze?“

Ojciec nic nie rzekł, zerwał dwa kłosy
A ukazując schylony,
„Patrz“, rzecze. jak go mądre niebiosy
„Za skromność ubrały w plony.

On pełen ziarna, a ten nadęty,
Co głowę podnosił z pychy,
Pusty zupełnie, prawie uschnięty,
Nie da nic prócz słomy lichej.

Pamiętajże więc, że i w pokłosiu
Nauka ważna niedługa,
Że pychę rodzi głupstwo, Antosiu,
A skromność — rodzi zasługa.

WYRODEK.

Powiastka z prawdziwego zdarzenia.

(Dokończenie.)

Lecz ustała burza nareszcie, niebiosa zajaśniały znowu słonecznie, a chłopak się nie pokazywał. Krzyk tylko rozpaczliwy, okropny, z wołaniem o ratunek zmięszany, dobywał się z pod stosu drzewa, którego kilka kloców stoczyło się w burzy ze szczytu i snadź w upadku swoim poruszyło wszystkie inne.

Krzyk ten i wołanie, z razu gwałtowne, nieustanne, przeciągłe, trwały aż do zachodu słońca, potem słabsze i przerywane, w płacz się zamieniwszy żałośny, przez całą noc lamentowały; potem jeszcze przez całą dobę, kiedy niekiedy cichym jękiem się dobywały; aż nareszcie zmilkły na zawsze... Sam się *Wyrodek* nie wydobył z pod stosu, a na pomoc nikt mu nie przybiegł, gdyż poręb dość odległy był ode dworu i chodzić tam nie było po co, a chociaż po zniknieniu tego nędznika szukano go bardzo gorliwie po studniach i sadzawkach, po sąsiednich wioskach i lasach, sądząc, że albo zabłądził, albo utopił się ze złości, snadź już Boża w tem była wola, by nikt nietylko na to miejsce nie zajrzał, lecz i w pobliżu się nawet nie znalazł.

Zbyteczna więc dodawać, że *Wyrodek* pod owym stosem zbrodniczy swój żywot zakończył. Wcisnąwszy się w sam środek, już miał ująć indyka i uszczęśliwiony w dzikim zachwycie, z oczyma świecącemi jak u wilczątka, z twarzą oszpeconą uśmiechem szkaradnego zadowolenia, już rozkoszował się myślą, jakie on mu zada męczarnie, gdy wicher (Anioł gniewu Pańskiego raczej) uderzył w stos gwałtownie i wszystkie w nim kłody wstrząsnąwszy, usunął je w ten sposób, że nie zgniotły niecnego chłopca, a tylko zawaliły ów otwór, którym się on wczołgał do środka i rękę — wyciągniętą w celu zbójeckim zgruchotały i uwięziły.

A było to w tej samej chwili, gdy nieszczęśliwa matka, srodze zgryziona nowem okrucieństwa objawem, karą konieczną, wymierzoną za nie przez ojca i mniemaną ucieczką swego dziecięcia, myślała o tem, co się z nim stało, i jeśli się tuła w lesie lub w polu, w jaki sposób przetrwa tę karę? Rzuciła się z płaczem na klęczki i długo rozważając to wszystko, co już wycierpiała dotąd od niego i co jeszcze wycierpieć może, rzewniej i goręciej niż kiedy straszną swą powtórzyła modlitwę: „Ulituj się panie nademną! zmień w nim serce łaską cudowną! lub jeżeli jej wcale niegodzien, to mu nie daj dojrzeć w tych zbrodniach, a skróć rychlej nędzne dni jego!“

I Bóg wreszcie głos jej usłyszał i słuszną wyrodkowi karę wymierzył.

Uwięziony w ciasnej ciemnicy, z której się wymknąć, ani się w niej poruszyć nie mógł, z ręką przygniecioną, strzaskaną, zdjęty bolem niewysłowionym, przerażony myślą o śmierci, wysilony srogiem cierpieniem, nadaremnym krzykiem i płaczem, a nareszcie i ogromnym głodem, przez trzy doby, długie jak wieczność, konał nieszczęśliwy wśród piekielnych prawie katuszy, to mdlejąc bez pamięci, to znów odzyskując przytomność, na to tylko, aby znów zemdleć — z bólu, wstrętu i przerażenia! Bo dość za życia, jeszcze jak do trupa, jak do zdechlizny zaczęło się ściągać silne robactwo i ciepłą krew z niego wyssysać, a szczur dopadł do przytłoczonej ręki i palce zesztywniałe, bezwładne, ale czucia nie pozbawione, jął mu najbezpieczniej obgryzać... A tuż przed nim, nie dalej jak o łokieć, leżał ów biedny indyk, zaduszony tem samem drewnem, które jemu ramię strzaskało, i cuchnął obrzydliwie, prędko się zepsuwszy w letnim upale. Woń to była zabijająca, mniej działała jednak na zmysły niż na umysł *Wyrodka*, który dopiero teraz przypomniał i zrozumiał wszystkie nauki, wszystkie rady i prośby matki, co tak często mu powtarzała, mówiąc:

— Pomyśl synu, coby to było, gdyby też nad tobą ktoś tak się pastwił, jak ty nad zwierzętami?

Teraz właśnie i on, tak jak ów indyk, największa zawziętości jego ofiara, leżał przywalony klocami, skaleczony i bliski śmierci; teraz właśnie i on, jak tyle ptasząt, tyle myszek, płazów, owadów, które wymęczywszy w dzikiej igraszce, rzucał na pastwę głodu, na zdeptanie, lub na pożarcie żywcem przez jakiebądź inne istoty, miał też skonać śmiercią głodową, nakarmiwszy żywem swem ciałem żarłoczne roje ohydnego robactwa!... I nie

mógł się wyzwolić, nie mógł ujść strasznej zguby! Przytem, rzecz najboleśniejsza, sam zawzięty, mściwy, przekorny, myślał teraz, że wszyscy tacy! Nie przypuszczał, ażeby krzyk jego nie dosięgał niczyjich uszu, pewnym był, że go wszyscy słyszą we dworze i że nietylko czeladź, której się tak często dawał we znaki, złością za złość mu dzisiaj płacąc, umyślnie go nie chce ratować, lecz że nawet ojciec i matka, co mu tak często karę bożą opowiadali — na męczarnię i śmierć jego spoglądają z zadowoleniem. W chwilach zaś majaczenia gorączkowego dziwne mary mu się przywidywały, dziwne głosy rozlegały się w uszach. Wszystkie istoty, nad jakiemi się tylko pastwił, jakim tylko kiedy dokuczał, jedna po drugiej zjawiając mu się w wyobraźni, wymęczone, pokurczone, tłumną gromadą waliły się zewsząd na niego i piętrząc się coraz to wyżej i gniotąc go coraz to mocniej, dech ostatni z piersi mu wypierały i słuch rozdzierały wrzawą okropnych onych głosów, dobrze mu znanych, jakiemi się każde stworzenie tak wymownie umie poskarżyć na męczarnie sobie zadane, bo w każdem z nich, tak w brzęku muchy jak i skomleniu szczenięcia, dźwięczały dlań też jęki, toż wołanie i płacz żałośny, — w których napróżno własny swój głos wszystek wyczerpał!...

Lecz dosyć już tego obrazu, który was o bezsenność może przyprawić! Skończmy nareszcie smutną lecz prawdziwą tę powieść.

Po daremnych długich poszukiwaniach, biedni rodzice w końcu się pogodzili z tą myślą, że ich jedynak na zawsza jest stracony i na pociechę w bezdzietności swojej żałośnej, wzięli sobie za synka ubogiego chłopczyka, który powoli charakterem łagodnym, sercem czułem i kochającem zacierał w nich przykre wspomnienie złości i okrucieństw *Wyrodka*. Aż dopiero zimową porą, gdy zwożono drzewo z porębu, parobcy rozbierając jeden ze stosów, z przerażeniem ujrzeli pod nim — obleczony w suknie zbutwiałe sam już tylko szkielet swego panicza, przy indyczych kościach i pierzu.

Więc się rozwiązała dziwna zagadka: rodzice i domownicy pamiętali jeszcze, po jakiej scenie *Wyrodek* się z domu wydalił i łatwo im było teraz zrozumieć, co go w ten samotrzask straszny zagnało.

Łzy gorzkie popłynęły z oczu nieszczęsnej matki, gdy w tak okropnym stanie odnalazła swego pieszczocha, gdy ujrzała to niegdyś hoże, zwinne, urocze ciałko, zmienione w przejmujący zgrozą kościotrup, a wyobraziła sobie nieboga, co za męki syn jej znieść musiał, nim nareszcie ducha wyzionął! Ból nieszczęsny serce jej przejął; z pokorą wszakże uchyliła czoło przed wolą Boga, wspomniawszy, że go sama o to błagała, aby mu nie dał dojrzałego wieku doczekać, jeżeli na nędznika ma wyrość. Tuląc zaś do swych piersi dziecię przybrane, co drżąc z przerażenia na to patrzyło jak ze wstrętem pomimowolnym słudzy kładli ów szkielet do trumienki, zawołała z rzewliwem łkaniem:

— „O! bądź dobrym, mój ty jedyny, bądź dobrym przedewszystkiem, bo choćbyś był piękniejszym od aniołów niebieskich, choćby mędrszym od wszystkich ludzi, ze złem sercem będziesz ohydą i plagą społeczności!“

Ojciec jeszcze mężniej zniósł to nieszczęście, a chcąc je na pożytek ludzki obrócić, zebrał na pogrzeb syna mnóstwo dzieci tak ze wsi, jak i ze sąsiednich dworów i uprosił księdza proboszcza o stósowną dla nich naukę. Zacny kapłan żywo się przejął tym chwalebnym jego pomysłem, i tak wymownie skreślił krótki; ale niegodziwy żywot zginionego chłopięcia, tak jasno i dobitnie wyraził, jak łatwo od bezmyślnej, psotnej igraszki posunąć się do okrucieństwa, od dręczenia muszek i ptasząt do złości i przekory przeciwko ludziom i do ostatniego wyzucia się z poczciwych uczuć, z takiem namaszczeniem nareszcie odmalował tę srogą karę, jaką na to złe dziecię sam Bóg spuścił wyraźnie, iż gromadka małych słuchaczy świętą zgrozą wskróś przenikniona, uwierzyła na całe życie, że człek ze złem, nieczułem sercem, gorszym jest i szkodliwszym od bestji najdzikszej, i że odrzucony przez swego Stwórcę na tym już świecie znajduje się w mocy szatana.

Nie dziw zatem, że długo, długo, podawano sobie z ust do ust smutne dzieje tego *Wyrodka*, ubarwiając je w różny sposób, aż nareszcie przeszły w legendę, w której dzisiaj ów biedny indyk jest jakoby złym duchem, do zguby niegodnego chłopca wiodącym; wicher zaś, co stós drzewa poruszył z posady, Michałem Archaniołem, zstępującym w gromach i błyskawicy z pomocą bożą na okrutnika. Nie dziw, że wiejskie dzieci stronią z daleka od mogiły *Wyrodka*, bojąc się nawet spojrzeć w jej stronę, a wierzę w to najmocniej, że jak one, tak też i ptaszki i motyle, nawet i owady w locie ją omijają, a nawet ani drzewko, ani kwiatek, ani trawka na niej nie rośnie.

Czy to prawda, tego ja nie wiem, ale tylko to pewne, że lepiej nie mieć wcale na ziemi grobu, niżeli na związany z takiem podaniem przez złe serce sobie zasłużyć!

Słoń.

Pomiędzy zwierzętami lądowemi, jakiemi Pan Bóg napełnił naszą ziemię, największym jest słoń,

*

którego siła odpowiada jego ogromowi. Nogi ma grube jak słupy, dochodzące do wysokości dorosłego mężczyzny, a ciało na nich się mieszczące dorównywa często wadze dziesięciu, wołów. Skóra jego gruba, fałdzista, barwy śniadej jest tak twardą iż ją kula nie przebije. Na krótkiej szyji ma głowę wielką z dużemi, kłapciastemi uszami, z małemi oczkami, nos zaś przedłużony w długą trąbę, pod którą sterczą dwa wielkie białe kły. Dorasta on 8 do 12 stóp wysokości, 12 stóp długości a waży około 7000 funtów. Kły jego znajdujące się po obu stronach pyska, a często ważące więcej jak dorosły człowiek, dostarczają znanej wszystkim kości słoniowej, słynnej z białości i trwałości, i dla tego bardzo cennej. Z niej wyrabiają rozmaite rzeczy, jak okładzinki do scyzoryków, nożyczek, grzebieni, ramki do obrazów i inne tym podobne zbytkowe rzeczy do ozdoby służące.

Słonie znajdują się tylko w gorących krajach Afryki i Azji, mianowicie w Indjach, i tam żyją w licznych stadach w stanie dzikim, robiąc nie małe szkody w uprawnych polach i ogrodach. Żywią się bowiem jedynie roślinnemi pokarmami, ryżem, kukurudzą, trzciną cukrową, liśćmi lub też owocami, gdy więc całe stado, złożone często ze stu sztuk, wejdzie na pole okryte dorastającym ryżem lub inną rośliną, można sobie wyobrazić, co za ogromne zrobi w tem miejscu spustoszenie. Czego nie zje, to stratuje swemi ogromnemi nogami, dla tego rolnicy pragnąc odstraszyć od pól swoich takich wielkich szkodników, w około nich rozpalają ogniska, których się słonie niezmiernie boją i utrzymują je przez całe noce, szczególnie, gdy nadchodzi pora zbiorów. Jeżeli zaś słonie, które od przyrody zadziwiającą pojętnością są obdarzone, upatrzą sobie jakie pole przez próżniaka rolnika opuszczone, to napadłszy je i jakby pojmując, że to rabunek, od którego co chwila mogą być odegnane, rozstawiają straż z innych słoni do czuwania i przestrzeżenia w razie niebezpieczeństwa, a same cichaczem wyrywają trąbami rośliny i w dużych pękach założywszy na grzbiet, wynoszą do swoich legowisk. Jeżeli im nic nie przeszkodzi w ich napaści, prowadzą taki rabunek przez całą noc, a niedbały rolnik w ciągu kilku godzin całorocznej swej pracy zostaje całkowicie pozbawiony.

Słoń pomimo swego olbrzymiego wzrostu i niezmiernej siły, jest bardzo łagodnym i pozwala się łatwo oswoić. W Indjach używają ułaskawionych słoni jako bydło juczne, ładując na nich rozmaite ciężary, a które tym sposobem przenoszą często do bardzo odległych miejscowości. U nas widujemy słonie w menażerjach, — albo czasem w cyrkach sztucznych jeźdźców, jak wyuczone rozmaitych sztuczek, popisują sie niemi przed ciekawą publicznością. I wtenczas nie można się dosyć nadziwić, jak mógł tak ogromny i niezgrabny zwierz wyuczyć się tylu rozmaitych a często dla zręcznego skoczka trudnych nawet ruchów i łamańców. Szczególnie zaś zdumiewa zmyślność słonia. Przywiązuje się on niezmiernie do swego przewodnika, wypełnia wszystkie jego rozkazy, zdaje się jakby rozumiał każde wyrzeczone doń słowo.

Jeden z takich słoni znajdował się niedawno u nas, a gdy przyszła chwila jego wystąpienia publicznego, wychodził z kapeluszem na głowie, i zatrzymawszy się na środku sali, trąbą zdejmował go sobie z głowy i powiewał nim, jakby się kłaniał. Potem dozorca kazał mu wsadzić się na grzbiet, co słoń z największą powolnością dopełniwszy za pomocą zgiętej trąby, obchodził całą salę do koła, a ile razy dozorca upuścił jaki przedmiot, kapelusz lub chustkę, słoń podnosił i podawał mu napowrót. Po takiej przechadzce następowała rozmowa i dozorca zapytywał:

— Cóż, mój przyjacielu, nadreptałeś się porządnie i zapewne zjadłbyś coś smacznego?

Słoń kiwnął głową i obejrzał się, jakby szukał pożądanego przez siebie posiłku.

— Oglądanie nic nie pomoże, — mówił dalej dozorca, — trzeba najprzód pomyśleć, coby się zjadło, a potem kazać lokajowi przynieść. Może herbaty, może szklankę kawy albo ciasteczko?

Słoń ciągle potrząsał głową z niezadowoleniem.

— To zapewne pragniesz, mój przyjacielu coś pożywniejszego, naprzykład pieczeni wołowej lub kapłona? I to nie? No, to pewnie masz ochotę na cały objad? Wybornie! masz prawdziwie pańskie gusta i dbasz o swoje zdrowie. Przywołaj więc służbę i zadysponuj.

Słoń podszedł ku dzwonkowi, pociągnął za sznurek, że go ledwie nie urwał. Usłużny lokaj wbiegł natychmiast, słoń znacząco kiwnął trąbą, i niebawem służba wniosła stół nakryty talerzami jak dla człowieka, a słoń z zawiązaną pod szyją serwetą usiadł przy nim i zaczął zajadać w najlepsze. Była zupa, paszteciki, dwa mięsa z sałatą ogórkową, a w końcu na legominę ciasteczka cukrem obsypane. Po każdej potrawie słoń dzwonił na służbę do zmiany talerzy, kazał sobie przynieść butelkę wina, wypił ją co do kropli, a gdy mu kawę przyniesiono, i ta była niezbyt słodką, potłukł wszystkie talerze, stół przewrócił i za uciekającym lokajem rzucił dzwonkiem.

Ze wszystkich stron zagrzmiały oklaski, a nasycony słoń z kapeluszem na trąbie zaczął iść w około sali i na wszystkie strony nim wywiewając, dziękował widzom za ucztę i oklaski.

Do swych przewodników okazują słonie bardzo wiele przychylności, a często nawet tak się do nich przywiązują, iż dłuższy czas bez ich towarzystwa obejść się nie mogą. W starożytnych wiekach z tego powodu używano słoni do wypraw wojennych. W tym celu wychowywano starannie młode słonie, oswajano ich z wrzawą bitwy, zadawano nawet rany, a tak przyuczone prowadzono potem do boju, stawiając na ich grzbiecie silne wieżyce, z po za których łucznicy rzucali pociski na nieprzyjaciela. Słoń szedł śmiało naprzód, tratując swemi ogromnemi łapami szeregi strwożonych żołnierzy, a z grzbietu jego rażono uciekających.



Wojenny słoń.

Dzieje wieków starożytnych wspominają kilka bitew, w których słonie zwyciężały lub zasłynęły. I tak podczas bitwy Aleksandra Wielkiego z indyjskim królem Porusem, słoń tegoż się odznaczył. Gdy bowiem z ranionego Porusa chciano zdjąć zbroję, słoń stanął w jego obronie, i trąbą odtrącał zwycięzców. Raniono go jednak w mordę, i wtedy dopiero zachwiał się i ukląkł. Aleksander zachwycony wspaniałością słonia i rozrzewniony przywiązaniem, okazanem swemu panu, postanowił uwiecznić jego pamięć, nadał mu więc miano Ajaxa, kazał go pokryć najwspanialszemi tkaninami, a kły jego przybrał w złote pierścienie na których kazał wyryć napis:

„Aleksander syn Jowisza ofiaruje słońcu tego zwierza.“

Niemniej wielką sławą w dziejach okryły się słonie króla Epira Pirhusa w wojnie jego z Rzymianami. Pomimo niezrównanej odwagi i waleczności Rzymianie ulegli przed natarczywością nacierających słoniów, których dotąd nie znali. W drugiej atoli bitwie wymyślili już i na tych strasznych nieprzyjaciół skuteczny sposób. Dowiedziawszy się, iż się lękają ognia, rzucili im pod stopy zapalone faszyny, a dym i ogień tak przestraszyły słonie, iż się nagle cofnęły w stecz, przygniatając ściśnięte szeregi swych własnych panów, a wtedy Rzymianie świetne odnieśli zwycięztwo.

Z wynalezieniem prochu przestano używać we wojnie słoni, których utrzymanie i sprowadzanie z dalekich krain południa zbyt wiele kosztów wymagało. *A. K.*

Wypisy z notatek pana Bogdana.

(Przez St. Jachowicza.)

Pełnić cnotę dla samej cnoty jest rzeczą trudną, ale uszlachetniającą człowieka.

Smakować w czynach, których tylko Bóg świadkiem, jest pierwszym krokiem ku doskonałości.

Człowiek powinien być człowiekiem w całem znaczeniu tego wyrazu, tj. zbliżać się ile możności ile mu siły starczą do Boga, Stworzyciela swego.

Rzetelność powinna być cechą wszystkich twoich czynności, nawet najmniejszych; niech się twoje czyny zawsze zgadzają z ustami.

Wstrzemięźliwość, w obszernem swojem znaczeniu, jest pięknem zwycięstwem, do którego żadne ze zwierząt niezdolne, to tryumf wolnej woli człowieka.

Popędliwość w sądzeniu o innych jest wielkim błędem. „Trzeba bardzo delikatnych narzędzi silnej ręki, mówi pewny uczony, do anatomizowania ludzkiego serca, by nie uszkodzić cieniutkiego nerwu, który częstokroć jest niewidzialnym, a na którego odkryciu zawisło dopiero poznanie duszy człowieka i pobudek jego czynności.“

Broń nieprzytomnego, choćbyś nawet miał do niego urazę, jeżeliś w sobie przekonany, że zasługuje na to.

Dobroczynność jest świętą powinnością każdego człowieka. Jest to węzeł, który łączy ludzi jednych z drugimi. Pomimo woli przywiązujesz się do tego, któremu wyświadczasz przysługę.

Te słowa Chrystusa: „Kochaj bliźniego jak siebie samego“ — nie znaczą, że miłość ma być w sercu naszem wrodzonem uczuciem, i że w miarę tego uczucia mamy czynić dobrodziejstwa bliźniemu; nie, zaiste, one znaczą: czyń dobrze bliźniemu twemu według możności twojej, a uczynki twoje zrodzą w twojem sercu prawdziwą miłość całej ludzkości, tj. miłość chrześcijańską.

To co wydałem, tom stracił, to co posiadam zostawię dla drugich; ale to co dam uboższym, to prawdziwie jest mojem i z tego jednego owoce zbierać będę.

W tej krótkiej pielgrzymce życia naszego kochajmy wiele, nie obawiajmy się kochać zanadto, nie zamykajmy naszych uczuć w tajnikach serca naszego, dajmy poznać tę miłość naszą, aby rozgrzała serca strapione, zniechęcone, oziębłe!

Starajmy się przekonać o naszej miłości nietylko gorącem słowem, ale nadewszystko czynami naszemi.

Kochanie nieprzyjaciół i nagradzanie złego dobrem czyni nas wyższymi nad ludzi; jest to cnota, którą tylko usta Boskiego posłańca zalecić mogły. O! co za rozkosz odnieść podobne zwycięstwo!

Nie trudź się szukaniem szczęścia doskonałego; na tym świecie ono się nie znajduje. Boleści fizyczne i moralne, własne i osób ukochanych, są główną przeszkodą. Z samej natury naszej nie jesteśmy usposobieni do kosztowania zupełnego szczęścia, możnaby powiedzieć, że sił nam brakuje do tego, aby być zupełnie szczęśliwym.

Jednakże człowiek może być sprawcą po większej części swej doli, podług tego na jaką wejdzie drogę. Ten co szuka szczęścia po za obrębem swoich powinności, stawia losy swoje na niebezpieczną kartę, a jeżeli czasem uda mu się wygrać, to sam przyznać musi, że ta wygrana zupełnie nie odpowiada jego oczekiwaniu.

Dopełnienie trudnej powinności wzmacnia moralnie człowieka i można powiedzieć, że jest to jedynem prawdziwem szczęściem.

Ktoś słusznie powiedział, że nie ci są ślepi, co nie widzą dziennego swiatła, ale ci, co nie mogą dostrzedz swoich powinności.

Wszakże pobyt na tym świecie jest czasem próby. Tutaj człowiek ma pracować, aby się zbliżył do Boga przez umiłowanie wyroków Opatrzności i całego rodu ludzkiego.

Po doznanej niesprawiedliwości pociesz się prędko; pamiętaj, że powinno się więcej cierpieć z ran zadanych, niżeli odebranych. Prawdziwem nieszczęściem jest być samemu niesprawiedliwym.

Jednostajność humoru niezmiernie ułatwia stosunki z ludźmi i czyni je miłemi; dziwactwa, humory, oziębiają przyjaźń najtkliwszą. Biada temu, kto jest zmienny jak pogoda jesienna.

Wielkie cnoty zbliżają do nas, a małe wady oddalają.

Prawdziwa przyjaźń nie powinna być ani podejrzliwą, ani wymagającą.

Usposobienie zawistne jest dla człowieka powodem do nieustających cierpień, zazdrość to trucizna domięszana do każdej radości, to szpilka, która kole za każdem poczuciem.

Tajemnic powierzonych święcie dochowaj; nie zdradź ani słowem, ani czynem, ani nawet postawą.

Czyń jak najwięcej przysług, a sam jak najmniej żądaj. Na drobne urazy nie zważaj, większych nie bierz do serca, a najdotkliwsze przebaczaj.

Pamiętaj, że przyjaźń i bliska zażyłość nie uwalnia od względów i winnego uszanowania.

Mów mało o sobie, by nie wznieść podejrzenia, że tylko siebie kochasz.

Chcesz być mile widzianym w towarzystwie, słuchaj chętnie drugich mówiących, pozwól niech drudzy szczycą się rozumem. Twój niech zależy na tem, aby umieć smakować nie tylko we własnym rozumie. Korzystaj z tego co słyszysz, zbieraj miodek gdzie możesz, jak pszczółka z kwiatów.

Gdzie bądź jesteś, w pałacu czy w niskim domku, wszędzie staraj się zostawić po sobie miłe wspomnienie, wszędzie umiej się zastosować do drugich.

Nigdy nie ukazuj wyższości jeżeli chcesz być lubionym. Oddawaj sprawiedliwość zasłudze; przyznawaj chętnie innym, gdy co w nich widzisz dobrego.

W towarzystwie zawsze z pogodną ukazuj się twarzą, a jeżeli boleść jest w sercu twojem, dziel ją z tymi, którzy ją z tobą dzielili, innym nie zasępiaj chwil wesołych.

Znoszenie cierpień z godnością i stałość w nieszczęściu znamionuje człowieka, który własne szczęście ma w sobie.

Książki uważaj za przyjaciół; — nie wielka liczba, ale wybór stanowi ich wartość i przynosi prawdziwą przyjemność i korzyść.

Są dwa sposoby, aby dojść do prawdziwej osobistej niezależności, a temi są: mieć mało potrzeb, lub też nabyć wiele środków do zaspokojenia tychże. Pierwszy jest łatwiejszy, a jednak najrzadziej go używają.

Pamiętaj zawsze na te znane słowa: „To co ujmuję sobie z mego snu, to dorzucam do życia“

Pierwszy dług — to pierwszy krok do zależności.

Porządek we wszystkich działaniach człowieka jest koniecznym, jeżeli mają nosić na sobie cechę i chęć usiłowań dążenia do doskonałości.

Staraj się każdy dzień tak przepędzać, abyś, gdy wieczór nastąpi, gotów był stanąć przed Stwórcą twoim i złożyć rachunek czysty z żywota twego.

SZCZĘŚCIE.

Ach! mamo, szczęście znalazłem przecie!
To szczęście tobie przynoszę.
Jakież to proszę, pokaż mi dziecię?
Ale zgaduję po minie,
Po w rączce w górę wzniesionej,
Że to szczęście w koniczynie
Z pięciu listków złożonej. —
Lecz czyż w trudach życia mozolnych,
Po ukończeniu mozołów szkolnych
Staniesz kiedy o swej sile?
I równie do mnie przemówisz mile:
„Ach! matko, szczęście znalazłem przecie
Dla nas obojga na świecie!“ *A. K......a.*

Czyny dwóch chłopczyków

z czwartej klasy

ze szkoły OO. Dominikanów i św. Antoniego

we Lwowie.

Władyś, uczeń ze szkoły OO. Dominikanów, będący przed kilkoma dniami na przechadzce, spotkał małego kalekę, chodzącego na kulach, nędznego, schorzałego, którego odzież okropną nędzę przedstawiała. Uderzony tym smutnym widokiem, zapytał biednego chłopca:

— Czyj ty jesteś, chłopczyku?

— Niczyj, — odpowiedział tenże.

— Czy rodzice twoi dawno umarli? Kto cię utrzymuje?

— Pan Bóg litościwy, — odpowiedział chłopiec, — On ma o mnie staranie, On wskazuje dusze litościwe, które udzielają mi to, co mają nad potrzeby własne. Ojciec mój zginął w bitwie z Moskalami za Polskę, matka przed rokiem w nędzy umarła.

Te słowa, równie jak i stan nieszczęśliwego chłopca, żywo przeniknęły czułe serce Władzia. Dał mu natychmiast 10 centów, jakie dostał od mamy, ale tem niezadowolony, przyprowadził kalekę do domu i prosił rodziców, aby mógł mu odstępować codziennie własny podwieczorek. Ubogi chłopiec aż się rozrzewnił taką dobroczynnością. Ojciec zaś Władysia pochwalił postępek syna, i zajął się losem sieroty. Jako inżynier mający w mieście wiele znajomych — zebrał w krótce składkę i za te pieniądze przyodział biedaka, a nadto oddał go do rzemiosła. Dziś ów chłopczyk pracuje u zegarmistrza i błogosławi godzinę, w której spotkał się z poczciwym Władysiem.

Inny chłopczyk imieniem Józef S., uczeń czwartej klasy ze szkoły św. Antoniego odznaczył się inną wielką cnotą. Sam potulny, cichy i skromny, nigdy nikogo nie zaczepiał, sąsiad zaś jego w ławce szkolnej, uczeń Jaś B. nigdy mu spokoju niedawał i ciągle go zaczepiał i szturchał. Przed kilkoma dniami, niegrzeczny i swawolny ten uczeń tak podrapał obydwie ręce swego cichego towarzysza, iż takowe aż napuchły i pełno strópków na nich narosło. Pomimo bolu nie skarżył się nauczycielowi, a zapytany przez swą mamę co mu w rękę — z obawy, by współtowarzysz jego nie został ukarany, nie chciał go wydać, mówiąc, że go kot podrapał i dopiero przypadkiem cała sprawa się wykryła.

Spamiętajcie sobie dobrze dwa te przykłady, znamionują one dwie najszlachetniejsze cnoty, jakie człowieka zdobić mogą: *miłosierdzie i szlachetność.*

Obudwom tym uczniom wróżyć można, iż zostaną kiedyś zacnymi i cnotliwymi ludźmi zarówno kochanymi przez Pana Boga, jak poważanymi przez ludzi.

Złośliwy zaś swywolnik Jaś B. jeżeli się nie poprawi, wyrośnie na człowieka, od którego wszyscy stronić i którym pogardzać będą. *A. K.*

MANIA i OLENIA

dwie uczennice z konwiktu.

Komedyjka podsłuchana.



Przed magazynem Lewickiego we Lwowie.

MANIA.

Patrz, Oleniu! moja złota!
Kapelusik jak caceczko!
Oj paryska to robota;
Ustrojony koroneczką.

OLENIA.

pojrzyj tylko moja Maniu,
Z wisiorkami śliczne siatki,
Co tu gustu w ich ubraniu!

MANIA.

Jakie wstążki! jakie kwiatki!

OLENIA.

Ach patrz tych mankietków para,

MANIA.

A kaftanik, aż się śmieje,
Wiesz jak zwie się?

OLEMIA.

Gulnara
Na rękawkach są żokicje,

MANIA.

Patrz fansonik najmodniejszy,
Z Pou de soie, bleu mexiyue.

OLENIA.

Moja droga, ten piękniejszy,
Ten havanna, oto szyk!

MANIA.

Ale ja tu sobie gadam,
A tam lekcja czeka nas....

OLENIA.

Ej co tam, jeszcze czas.
Nie myśl o tem.



Na pensji.

NAUCZYCIELKA.

Cóż tak późno dziś panienki?
Już godzina prawie cała!

OLENIA.

Oh służąca nam sukienki
Tak dziś długo prasowała.

NAUCZYCIELKA.

Coś nie bardzo temu wierzę,
Bo sukienki nie zbyt świeże.
No do lekcji. — Mów Marylko:
Wiele mamy części mowy?

MANIA.

Cztery!...

NAUCZYCIELKA.

Proszę! cztery tylko?

MANIA.

Och, tak nie chce iść do głowy
Gramatyka...

NAUCZYCIELKA.

Mam nadzieję.
Że wyliczysz dobrze kraje
W Europie.

OLENIA.

. . . Pireneje,
. . . Alpy, . . . Kandja . . .

NAUCZYCIELKA.

A to baje! , . .
Niech więc mi wyliczy Mania,
Wraz kościelne przykazania,
No... bo czekam kwandrans cały...

MANIA.

Myśmy o tem nie słyszały!...

Wycieczki w wszechświat.

ROZMIARY WSZECHŚWIATA, SYSTEM SŁONECZNY, KOPERNIK. JAK TO NA KSIĘŻYCU?

Okazały to widok noc gwiaździsta; coś uroczego i tajemniczego w tem czarnem sklepieniu niebios, pokrytem nieprzeliczonemi światełkami. Od niepamiętnych też czasów sili się człowiek na przedarcie głębokiej zasłony, okrywającej świat naziemny; początki „Astronomii“ (nauki o wszechświecie) sięgają niedościgłej starożytności. W najdawniejszych pismach starożytnych narodów spotykamy różne astronomiczne pojęcia, aczkolwiek ciemne i błędne. Pracą długiej kolei wieków astro-

nomia stała się nauką ze wszystkich pewno najdoskonalszą, najpewniejszą; nie jest to żadną przechwałką; przykładami, które dalej wystawię, rzecz ta się potwierdzi.

Któż dzisiaj nie wie, że te gwiazdy, co tak pięknie zdobią noc ciemną, są to światy dziwnie wielkie, a w niepojętej od nas odległości położone; mówię — niepojętej, bo liczby prawie zabraknie na jej wyrażenie; możemy o niej nabrać nieco wyobrażenia z tego co powiem. Światło na sekundę ubiega 40.000 mil, to znaczy: gdybyśmy mogli zapalić tak mocne światło, aby ono było jeszcze widzialnem w odległości 40.000 mil od nas — to ktoś tam stojący (a zatem gdzieś daleko za ziemią, bo wymiary na ziemi są tylko nieznaczne w porównaniu z tą przestrzenią) ten, mówię, ujrzałby światło nasze dopiero po upływie jednej sekundy od zapalenia; stojący w odległości 80.000 mil ujrzałby je po dwóch sekundach i t. d. Otóż wiemy dziś z pewnością, że aby światło od najbliższej gwiazdy do nas doszło, potrzebuje na to przeszło trzech lat. Jeżeli więc zamienimy trzy lata na sekundy, co pewnie umie każdy z naszych czytelników, a liczbę ztąd powstałą pomnożymy przez 40.000 otrzymamy odległość najbliższej gwiazdy. Liczba gwiazd też nie mała; gołem okiem widzialnych liczą astronomowie 5.000; ale przez silne teleskopy i lunety (tj. narzędzia, które za pomocą zastosowanych szkieł pozwalają nam widzieć bardzo oddalone przedmioty) można widzieć gwiazd około 20,000.000. Każda gwiazda świeci własnem światłem, jak słońce nasze; każda też jest słońcem, a nasze słońce przeniesione na taką odległość mniej więcej, w jakiej się gwiazdy znajdują, byłoby gwiazdeczką nieznaczną. Na około każdej gwiazdy krążą prawdopodobnie inne światy, jak ziemia nasza około słońca, a których my już dostrzedz nie możemy. Są zatem w wszechświecie całe układy, całe systemy światów, z których jednym, niewielkim, jest nasz system słoneczny, a którego jedną niewielką cząstkę ziemia nasza stanowi.

Zanim w opowiadaniu naszem cokolwiek postąpimy, zanim podamy czytelnikom opis bliższych nam ciał niebieskich, musimy się obeznać w ogólnych zarysach z prawdziwym układem świata słonecznego. Długo uważał człowiek siedzibę swoją za środek całego wszechświata, słońce i gwiazdy miały się obracać na około ziemi, a ona jedna stała nieporuszenie w całym wszechświecie. Wiele upłynęło czasu, zanim zjawił się mąż, co obalić zdołał opaczne te pojęcia. Mężem tym był Kopernik. Pisząc cokolwiek o układzie świata nie podobna nie spotkać się z tem nazwiskiem, bo imię Kopernika zrosłe jest niemal z układem słonecznym. — Słusznie też zaliczyła Polska Kopernika do rzędu swych najznakomitszych synów. Uroczysty był to dzień dla kraju całego, gdy w 1829 roku Towarzystwo Przyjaciół Nauk wznosiło pomnik temu, co jak świetna gwiazda błyszczy na horyzoncie polskiej nauki. Wdzięczni to rodacy stawili ten pomnik Kopernikowi.

Wszystkie niemal narody złożyły się na odkrycie świetnej zagadki o układzie wszechświata. Po naszym Koperniku występują jeden za drugim badacze, co prawdę jedną po drugiej zdobywali: Galileusz, Włoch — Keppler, Niemiec — Newton, Anglik — Laplace, Francuz; są to niby wybrańcy narodów, wysłani dla odkrycia najpiękniejszej dotąd znanej prawdy naukowej.

Oto w kilku wyrazach streszczony system Kopernika: Słońce jest punktem środkowym świata słonecznego; naokoło niego krążą płanety, idące po sobie w porządku następującym: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran, Neptun. Na około płanet obracają się płanety drugorzędne czyli księżyce. Takich księżyców ziemia posiada jeden, Jowisz cztery, niektóre posiadają ich więcej, inne wcale ich nie mają. Każdy płaneta oprócz obrotu postępnego około słońca, ma jeszcze obrót około własnej osi. Pewne wskazówki każą się domyślać, że i słońce w miejscu nie stoi, a obraca się około innej jakiejś gwiazdy, tak, że w naturze nie ma spoczynku — wszędzie ruch.

Zapoznawszy się w ogólnych zarysach z budową wszechświata, możemy podać czytelnikom niektóre szczegóły o bliższych nam ciałach niebieskich. (Dok. nast.)

Rosomak.

Rosomaki należą do zwierząt ssących, ciało ich jest grube, na krótkich nogach, tak że chodząc prawie brzuchem dotykają ziemi; pysk mają ostry, ogon krótki kiciasty; nogi pięciopalcowe, prawie nastopne, to jest, że chodzą na podeszwach, podobnie jak niedźwiedzie, a nie na samych palcach, jak naprzykład psy. Zwierz ten ruchami i obyczajami podobny jest do borsuków, układem zaś zębów zbliża się do kun.

Jakkolwiek dawniej rozgłaszano przesadzone opowieści o żarłoczności rosomaków, nie podpada jednak wątpliwości, że one zaczaiwszy się na drze-

wie, chciwie rzucają się na przechodzące zwierzęta, często nawet na znacznie od siebie większe.

Dwa są gatunki rosomaków, brunatny północny, dawniej dość pospolity w Syberji i w górach Uralu, a dziś już rzadko spotykany, i rosomak amerykański, znacznie jaśniejszy od poprzedzającego i nierównie od niego pospolitszy Obadwa te gatunki dostarczają trwałego, ciepłego i dość drogiego futra.

K.



Rosomak.

(Nadeslane.)

Rozmowa z mamą.

Mama. Dochodzą nas wieści. iż cholera już grasuje w kraju naszym, i że dużo ludzi, a szczególnie dzieci umarło na tę chorobę. Pamiętaj Jasiu nie jeść wiele owoców, a szczególnie napiwszy się mleka nie jeść zaraz jabłek lub gruszek.

Janek. A dla czego proszę mamy?

Mama. Bo by ci mogło zaszkodzić, mógłbyś dostać bolu żołądka — a potem bardzo łatwo mogłaby się przyplątać cholera.

Janek. Dobrze proszę mamy — ale proszę mi też powiedzieć, co to za choroba ta cholera, której się tak wszyscy obawiają?

Mama. Cholera jest chorobą zaraźliwą, przybywa do nas w powietrzu z ciepłych krajów, mianowicie z Azji, a szczególnie tam się zagnieżdża, gdzie nie ma porządku, gdzie powietrze nieczyste, albo takich czepia się ludzi, którzy się bardzo objadają, albo nieporządnie, nieregularnie żyją. Cholery jednakże nie trzeba się bać, kto się przed nią strzeże i pilnuje przepisów lekarskich, ten pewni nie zachoruje na cholerę.

W kilka dni po tej rozmowie przybiegł Janek do mamy i wołał z płaczem: Ach! mamo, jak mię brzuszek boli, ojoj! ojoj!

Mama. Musiałeś coś zjeść niedobrego.

Janek. Nic więcej, tylko mleka kubeczek z bułeczką.

Mama. A potem cóż więcéj zjadłeś?

Janek. Nic, proszę mamy, tylko dwa jabłka i gruszkę, co mi w szkole dał Staś.

Mama. A potem co zjadłeś?

Janek. Nic, proszę mamy, napiłem się tylko wody.

Mama. Jakże mogłeś to zrobić?

Janek. Kiedy mi się okropnie pić chciało.

Mama. Przecież mówiłam ci, że to może zaszkodzić.

Janek. Wiedziałem, moja mamo, ale nie mogłem wytrzymać.

Mama. A to śliczny z ciebie mężczyzna, gdy w tak małej rzeczy nie umiesz się powstrzymać.

Janek. Ojoj! ojoj! boli hardzo, brzuch mi porwie na kawałki.

Przelękniona matka posłała co prędzej po lekarza, a ten mieszkał na szczęście w sąsiedniej kamienicy, przybył więc natychmiast, kazał Janka rozebrać, położyć do łóżka, nacierać mocno suknem, dał mu lekarstwo — i dopiero po kilku godzinach minęło niebezpieczeństwo — gdyby nie spieszny ratunek — kto wie, czyby był Janek nie umarł.— A przyczyną jego choroby było znowu nieposłuszeństwo i lekceważenie przestróg jego mamy!!!

OSTROŻNIE Z OGNIEM.

Przy kominku Kazio mały,
Dziadków swych swawolny wnuczek,
Gdy się drzewka dopalały
W rękę wziął żelazny kruczek.
Nuż nim kręcić, a żar pryska,
Głownia iskry z trzaskiem ciska,
Aż wreszcie figlarny malec,
Strasznie sobie sparzył palec.
Oj! oj! wrzeszczy, jakże piecze!
A na to mu dziadek rzecze:
Gdybyś był zakazu słuchał,
Terazbyś w palec nie dmuchał.

ROZMAITOSCI.

Czego to piłka narobiła.

Wandzia lubiła bawić się ze swoim braciszkiem Stasiem piłką w pokoju, — ale ich zawsze przestrzegano, żeby byli ostrożni, bo łatwo mogą nią zrobić jaką szkodę. Przez jakiś czas, póki pamiętali o tej przestrodze, wszystko było dobrze, ale raz Wandzia zamiast piłką uderzyć w ziemię, rzuciła z wielkim zamachem w okno. W oknie stała doniczka z różą dopiero co rozwiniętą, piłka utrąciła kwiat i wybiwszy szybę wypadła na ulicę. W tej samej chwili chodnikiem przechodził jakiś pan w kapeluszu, piłka spadając uderzyła go w rondo, kapelusz zachwiał się, a ów pan, chcąc go przytrzymać na głowie, wyciągnął nagle rękę i nie wiedząc co się za nim dzieje, uchwycił za deskę, niesioną przez fabrykanta wyrobów gipsowych, na której było pełno figurek rozmaitej wielkości. Deseczka, pociągnięta silnie, straciła równowagę i spadając na ziemią uderzyła w nogę jakąś panię idącą z młodą dziewczyną, że pani ta upadła, a potrącona dziewczynka stoczyła się do ścieku ulicznego.

W tej chwili najjechała szybko dorożka i byłaby obaloną dziewczynkę na śmierć rozjechała, gdyby nie przytomność jakiegoś młodego człowieka, który poskoczył ku koniom, skręcił je w bok i tym sposobem dziewczynkę uchronił od strasznego wypadku. Sam jednak przy tym ratunku padł na bruk i aż do krwi otarł twarz i ręce.

Z powodu tego powstał na ulicy zgiełk ogromny, fabrykant narzekał na szkodę, ów pan na kapelusz, pani na stłuczoną nogę, młodzieniec na twarz skaleczoną, a dziewczynka płakała, zobaczywszy ubranie i siebie powalane w brudnej nieczystości.

Nadto wszyscy poznawszy, co było przyczyną całego wypadku, poszli do rodziców Wandzi i Stasia i ci musieli fabrykantowi za stłuczone figurki kilka reńskich zapłacić, a dziewczynkę kazać obmyć i nadto przebrać w suknie Wandzi. A co przytem było narzekania, co przepraszań, co łajań, i Wandzia ze Stasiem tak się zawstydzili, że ich potem przez cały dzień głowy bolały. Przyrzekli więc, że nietylko piłką nigdy się nie będą bawić w pokoju, tylko w ogrodzie, albo za miastem na przechadzce, lecz także, iż będą pamiętali na przestrogi rodziców i starszych, żeby znowu podobny nie wydarzył im się wypadek. — I dotrzymują słowa, nauczeni doświadczeniem; oby inne dzieci, korzystając z przypadku Stasia i Wandzi, nie potrzebowały pierw smutnych doświadczeń — tylko żeby zaraz usłuchały przestrogi starszych — bo tego nigdy żałować nie będą.

Szarada.

I.

Pierwsza, na wspak w wodzie, często ją jadamy,
Z niej też bardzo smaczną zupę sporządzamy;
Druga z drugą zgłoską bardzo sprzyja tobie;
Trzecia jest zaimkiem — stoi przy osobie;
Druga z trzecią zgłoską do zabawy służą,
Z nich też zwykle wróżki ludziom dolę wróżą;
Wszystkie w końcu zgłoski, i na wprost czytane,
Góry nasze polskie, wszystkim ukochane.

Zagadka.

I.

Zwinna jak ptaszek,
Szuka igraszek:
To skacze, to lata,
I figle płata,
I chłopców w lot bije,
A jednak nie żyje.

Od Administracji.

Już tylekrotnie na tem miejscu użalałem się na przykry stan finansowy wydawnictwa, dzisiaj niestety — ostatecznością spowodowany, z żalem donieść byłbym musiał, iż zamykam dalsze wydawnictwo „Opiekuna dzieci“ gdyby nie szlachetna ofiarność p. Alfreda Młockiego. Zacny ten obywatel, który już bardzo wiele ofiar złożył dla oświaty i nauki, dowiedziawszy się, iż „Opiekun dzieci“ dla braku środków pieniężnych wychodzić przestanie, zaliczył kwotę 1:0 złr na dalsze wydawnictwo. — Niniejszem więc w imieniu waszem, kochani moi czytelnicy, składam mu podziękowanie, a niejeden z was serdeczną dla szlachetnego dawcy przejmie się wdzięcznością. Przy tej sposobności proszę o jak najliczniejsze rozpowszechnianie „Opiekuna“ w swej okolicy — zapewniając, iż mojem najusilniejszem będzie staraniem dążyć do coraz większego udoskonalenia pisma tak potrzebnego dla młodzieży. Donoszę również, iż wszystkie dawne roczniki, od I. do VIII. zbroszurowane w administracji nabyć można. — Cena za wszystkie 16 złr. i każdy pojedyńczo. — Dziełka: Palestyna 55 ct.; Z Krakowa do Gdańska, I część 30 ct., II. część 50 ct; Porzecze Wisły 50 ct.; Przechadzki po polu i ogrodzie, I część 25 ct, II. 30 ct., III. 60 ct.; Komedyjki: Imieniny Taty 20 ct. i Próżność ukarana 20 ct. — także w Administracji nabyć można. Wszystkie szkółki płacą o czwartą część mniej.

Z drukarni Kornela Pillera. Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Aleksander Kisielewski